

Dzisiaj, czyli 9 września 2018 roku, odbył się wieczorem koncert, z którego słyną Wratislavie Cantans. Miało miejsce muzyczne wydarzenie, który otwiera bramy wyobraźni, a u niektórych szczęśliwych wrażliwców zostaje na całe życie, aby je nieco zmieniać swoim pięknem. Nim jednak przejdę do zachwytów nad programem Media vita in morte sumus sławnego zespołu Graindelavoix napiszę kilka słów o koncercie, który odbył się wcześniej.

Zwyczajem Wratislavii stały się już od dekad Kursy Muzyki Oratoryjnej i Kantatowej. Tym razem tematem kursu była muzyka francuskiego baroku, czyli kompozycje Louisa-Nicolas Clerambault, Jeana Gillesa, Marca-Antoina Charpentiera, Jeana-Baptisty Lully'ego i Andre Campry. Koncert otwierało też krótkie preludium na lutnię świętego Roberta de Visee, który jak nikt inny potrafił zawrzeć w kompozycjach na lutnię zagadki przestrzeni. Preludium d-moll zagrał znakomicie Anton Biruła.

Ogólnie zespół instrumentalny był bardzo dobry i świetnie zaznajomiony z estetyką baroku francuskiego, pełnego nakładających się płaszczyzn, subtelnego ale też nieco kostycznego i hieratycznego, budującego emocje i malowniczość w sposób protoromantyczny już od XVII wieku. Cały zespół instrumentalistów NFM budował bazę dla popisów wokalistów – kursantów w chórze i solowo fachowo i z polotem. Muzyków grających bez kursantów usłyszeliśmy w Preludium z Sonaty H.548 Charpentiera. Była w nim majestatyczność, francuski esprit oraz blask słońca kojarzący się z Królem Słońce .

Popisy wokalistów-kursantów zaczęły się niefortunnie, po czym

na szczęście poziom wykonawczy wzrastał, aż osiągnął całkiem przyzwoity pułap, pozwalający cieszyć się pięknem francuskiej muzyki doby baroku. Pecha miał Clerambault, którego muzyka nie mogła ożyć przy zupełnie niespójnej emisji i dynamice głosów poszczególnych śpiewaków. Pojawiły się też zbyt liczne błędy intonacyjne, zmuszające nawet instrumentalistów do zbaczania z właściwego kursu.

Później było już tylko lepiej, przez co mogłem się nacieszyć niebanalną dyrygenturą australijskiego specjalisty od muzyki dawnej – Benjamina Bayla. Okazało się, że młodzi śpiewacy mają spory potencjał, zaś na przykład basy śpiewały już na poziomie w pełni dojrzałych artystów. W innych wypadkach na przykład jedna sopranistka była świetna w zdobnictwie i wyczuciu stylu, jednak miała jeszcze nie w pełni ułożony głos, inna z kolei dysponowała pięknym głęboki sopranem, ale jeszcze nie dopracowała niskich dźwięków swojej skali. Muzyka francuska okazała się bardzo trudnym sprawdzianem dla młodych adeptów sztuki śpiewu. Mimo to po pechowym Clerambault było całkiem przyzwoicie, a momentami wręcz świetnie.

Muzyki powstałej w cieniu gustu Króla Słońce mieliśmy okazję służyć w Oratorium Marianum Uniwersytetu Wrocławskiego. Po tym Wratislavia przeniosła się do jednego z najpiękniejszych arcydzieł gotyku jakie znajduje się na obecnym terytorium Polski, czyli do dwupiętrowej Kolegiaty Świętego Krzyża i św. Bartłomieja. Tu swoją niezwykłą sztukę przedstawili po raz kolejny już śpiewacy z Graindelavoix. Parę lat temu wykonywali w tym samym miejscu sławną Mszę Nostre Dame de Machauta, tworząc prawdziwy wszechświat gotyckiego wielogłosu.

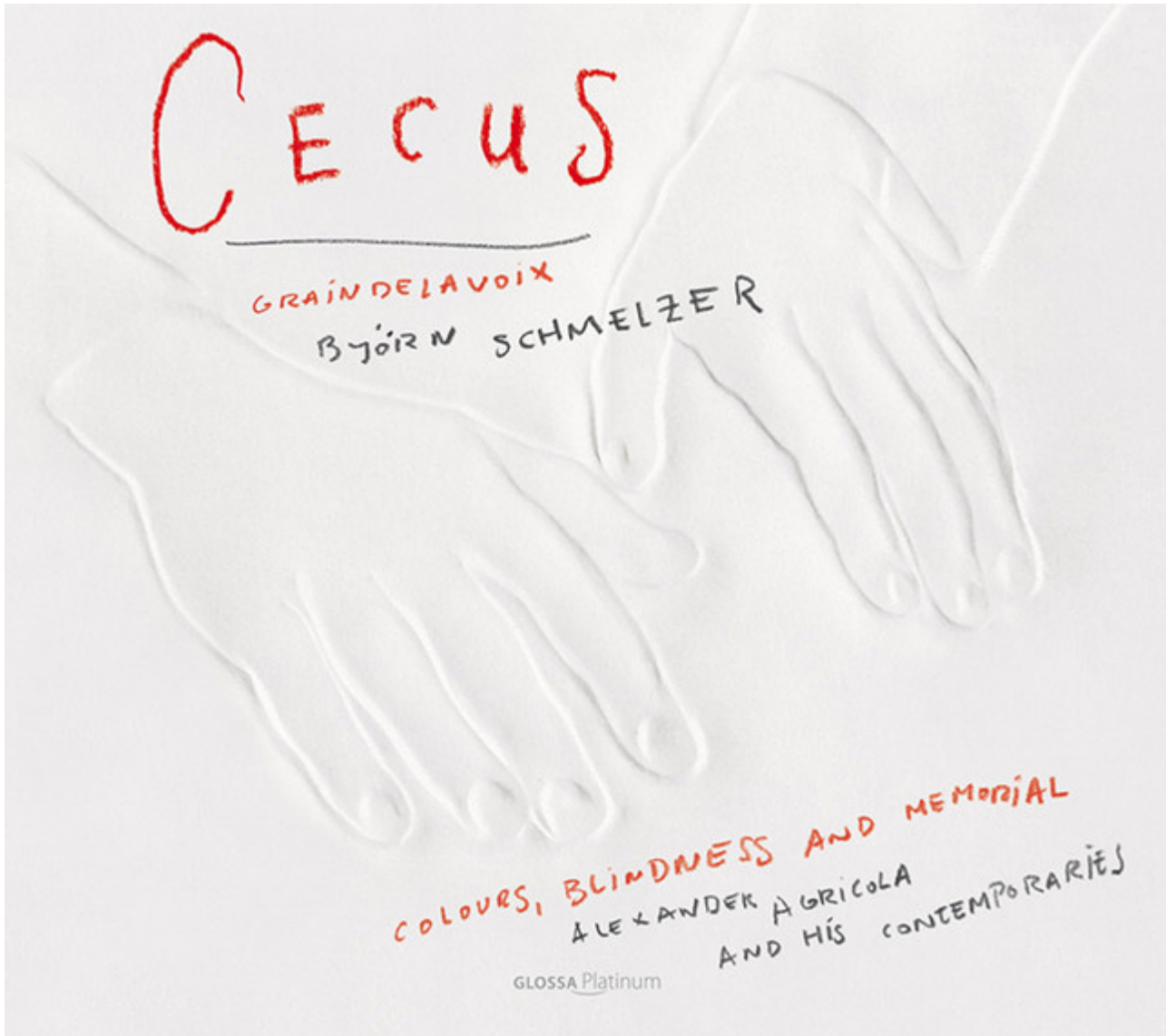


graindelavoix / fot. Koen Bross

Po moich wrażeniach z Machautem w wydaniu Graindelavoix nie mogłem nie zakupić kilku ich płyt, w tym rewelacyjnej interpretacji muzyki późnogotyckiego Cypru. Te fonogramy nagrane dla hiszpańskiej Glossy są artystycznie bezcenne. Jednak rok temu słyszałem ich w transmisji przez radio repertuaru późnorenesansowego. Miałem wtedy wrażenie, że zniknęła ta anarchiczna doskonałość, jaka oczarowała mnie na wrocławskim koncercie (ten radiowy transmitowany był z Warszawy). Wydawało mi się, że przeciwstawna w swej homogeniczności wobec gotyckiej wielogłosowość renesansu odebrała Graindelavoix ich podstawy atut, jakim jest wielka indywidualizacja głosów wykonawców, oraz całych ich stylistyk, zaczerpniętych wprawdzie z tez i przypuszczeń dotyczących dawnego brzmienia śpiewu, lecz z bardzo różnych źródeł. Nie na próżno szef zespołu, Bjorn Schmelzer, został uznany za najbardziej kreatywnego antropologa.

Inną nowością w spojrzeniu Graindelavoix na muzykę jest inspirowanie się graficznym zapisem muzyki, co przynajmniej w muzyce późnego gotyku wydaje się być dobrym tropem. Oczywiście nikt nie wie, jak taka inspiracja powinna wyglądać. Mnie to kojarzy się nieco z malarstwem ragowym w Indiach, które ma sugerować kształt najbardziej wyrafinowanej formy muzycznej północnych Indii. Gdy jednak się słuca Graindelavoix zapomina się o tego rodzaju wątpliwościach, bowiem śpiewacy tego zespołu z ogromną perfekcją manipulują muzycznym czasem, zatrzymując go i rozciągając. Na to nakłada się wielogłosowość tak uważna i pełna skupienia, że każdy najdrobniejszy związek wertykalny głosów staje się mikrouniwersum, filozoficzną zagadką, lub pięknym dźwiękowym brylantem.

Program zaprezentowany tym razem na Wratislavi Cantans przez belgijskich artystów miał dwa rozdziały. Pierwszy dotyczył snu, drugi zaś śmierci. Osnową pierwszego był motet Aleksandra Agricoli i zainspirowane nim utwory Senfla, des Presa, Coppiniego, Obrechta i Divitisa. Bałem się trochę, że po moich zachwytach późnym gotykiem w ujęciu Graindelavoix ich renesans ponownie mnie rozczaruje. Nic bardziej mylnego! Natychmiast zanurzony zostałem w labiryntach muzyki, w wydobytych na światło dzienne zagadkowych zaułkach muzyki znanej mi pozornie tak dobrze, jak arcydzieła des Presa. Jednocześnie śpiewacy podkreślali elementy wzięte od Agricoli jakimś zupełnie nierealnym światłem, tak że mogłem być naocznym świadkiem powtórzonej po 500 latach inspiracji. To było zupełnie niezwykle. Tak wielką wrażliwość i wyobraźnię w wykonawstwie muzyki dawnej można porównać tylko z Marcelem Peresem, którego śladami Graindelavoix do pewnego stopnia zresztą wędruje, nawet poprzez rezydencję w Royaumont, która skończyła się w tym roku projektem ukazującym gotyckość angielskiego renesansu.



Druga część koncertu dotyczyła śmierci (której sen jest delikatnym tchnieniem) i zawierała utwory de Kerle, Gomberta, Shepparda i di Lasso. Tu czas jeszcze mocniej zamarł, wielogłosowe labirynty stały się jeszcze bardziej niepokojące i skaliste, kontakt z rzeczywistością był niemal niemożliwy do utrzymania. „Jak oni to robią?” – myślałem sobie śledząc cantus firmus w wysokich głosach, którego chyba nikt nie śpiewał, a jednak wił się między głosami jak złota nić.

Podobnie jak w przypadku Peresa i jego Ensemble Organum, tak i

w wypadku Graindelavoix i Bjorna Schmelzera ciężko uwierzyć w taką muzyczną doskonałość, w tak uważne odczuwanie każdego tonu i każdej relacji tonów i w to, że to wszystko budowane jest w sposób śmiały i ekstrawagancki, momentami wręcz bezczelny. U Graindelavoix słyszymy co jakiś czas orientalizm, ludowość oraz współczesną melorecytację której nie powstydziliby się Schoenbergowski Pierrot. A jednak wszystkie te elementy, dalekie w czasie i przestrzeni, zbiegają się w jednej muzycznej chwili i uderzają w słuchacza z całą mocą. To był piękny koncert!